

Temat . Fabryki, huty, kopalnie w oczach Stefana Żeromskiego – nowoczesność i postęp czy piekło dla pracujących tam ludzi? Odpowiedz na pytanie, analizując załączone fragmenty *Ludzi bezdomnych* oraz wykorzystując znajomość całości powieści. Zwróć szczególną uwagę na opisy maszyn i pracujących robotników.

Rano przed ósmą Judym zdążył piechotą na dworzec kolejowy. Był to jeden z pierwszych dni września. Jeszcze słońce pieściło się z ziemią i posępne, czarne domy obłoczyły na się szaty jego świetliste. [...]

Na dworcu spotkał już kilka osób, które go uchyleniem kapelusza witały. To jeszcze bardziej odbierało mu pewność siebie.

W dali rozległ się sygnał zwiastujący pociąg i wkrótce, jak barwna dzwona węża, długie ciało zaczęło się przeginać w zwrotnicach. W jednym z okien doktor zobaczył Joasię. Była ubrana w skromny kapelusik podróżny. Miała szarą suknię. [...]

Szli szeroką ulicą, po bruku uwalanym w błocie, mówiąc o rzeczach obojętnych. Panna Joasia zmuszona była dbać o swą suknię.

Kiedy niekiedy podnosiła oczy pełne blasku i wówczas odrobina żalu za tak sztywne przyjęcie ukazywała się na jej czystej twarzy.

Judym dostrzegł i to także.

– Będzie pan łaskaw pokazać mi fabryki tutejsze? – spytała z odrobiną zalotności.

– Z wielką chęcią... Właśnie idziemy... [...]

Weszli w podwórze fabryczne.

Otoczyła ich puszcza machin i warsztatów.

Tu hale otwarte, w których wiły się złote węże drutu, gdzie indziej zionęły ogniem jamy pieców martenowskich, dalej jęczały młoty parowe bijące w belki białej stali.

Kupy węgla, szmelcu, stopy szyn [...] zagradzały im drogę. Judym miał już wyrobione pozwolenie zwiedzenia wszystkich robót, a nawet delegowanego specjalistę technika, który miał go, wraz z „kuzynką”, oprowadzić. Technik nawinął się wkrótce, bardziej zapewne usposobiony do oprowadzania „kuzynki”, choćby też w towarzystwie lekarza, niż do ślęczenia nad jakimś rysunkiem w kantorze.

Poszli tedy we troje. [...] Weszli po schodach na wielki piec.

Widzieli kaskadę ochładzającą mur rozpalony, trąbę, która prowadzi do jego wnętrza upalne powietrze i która zdaje się oddychać jak aorta.

Joasia nie mogła się dosyć napatrzeć cienkiej smudze szlaku tryskającej jak krew z górnego otworu. Właśnie przy nich przebito piec i ognista rzeka wylała się na ziemię. Cudne iskry strzelały z tego złotego strumienia. Fale jego posłusznie płynęły do łożysk swoich, które im długimi drągami otwierali czarni ludzie w siatkach na twarzy. Łuna stała jeszcze nad tą sadzawką ognistą, gdy ją opuścić musieli dążąc gdzie indziej.

Wprowadzono ich do sali maszyn pompujących gorący wicher. Olbrzymie koła o kilkunastu metrach średnicy, do połowy zanurzone w ziemię, toczyły się w swych miejscach bez szelestu, w jakimś milczeniu i chwale. W cylindrach, błyszczących jak lustra, coś nieustannie cmokało, jakby wielka gęba niechlujnego potwora chleptała napój. Z innego miejsca wrywał się dźwięk nie istniejący.

Był to krótki, urwany śmiech szatana. Serce Joasi było strwożone. Czuła, że ten głos do niej się stosuje, że radosne marzenia o szczęściu, jej cichą miłość zobaczył. Spojrzała na Judyma szukając w jego oczach zaprzeczenia, ale ta twarz droga była martwa...

Obejrzeni piece martenowskie, które wytwarzają stal odlewaną w kubłach na belki. Te „kolby” wędrują stamtąd do walcowni, gdzie znowu w czeluść pieca wrzucone zostaną i do białości się rozpalą.

W wielkich halach wyłożonych żelaznymi płytami wszystkie wrota stały otworem. Przeciągi rwały wzdłuż i w poprzek, ochładzając czoła, plecy i ręce, które pali białe żelazo. Nie istnieją tam płuca chore, nie ma nerwów. Kto chory, ten umiera. Jak ognista kula, pędzi na ręcznym wózku przez halę biała belka. Nie widać ludzi, którzy ją dźwigają. Pada na ruszt, który się z posadzki wydobywa. Jest on jak plecy o kilkunastu metrach długości, wyginające się zupełnie wzorem kręgosłupa i niby z kręgow złożone z kół wydłużonych.

Czterej olbrzymi czarni ludzie z jednej i czterej z drugiej strony walców, w siatkach na twarzy, dzierżąc w ręku długie obcęgi, ujmują belkę w swą władzę. Pchną ją mocno między szeroko rozdziawione walce dolne. Jak bryła masła stal się między nią wślizguje. Po tamtej stronie czeka na nią ruszt, który się z ziemi wysunął. Czyny ludzi są płynne, rytmiczne, prawie jak taniec. [...]

Tuż obok latają po ziemi węże stalowe.

Biały ucinek sztaby płonącej, wprowadzony w ciasny otwór, wybiega co chwila w przestrzeń, zmiierzając do coraz węższych kryjówek. Tam stoją młodzi ludzie z krótkimi szczypcami, którzy chwytają pysk węża, gdy się wysuwa, i niosą go swobodnie na salę. Dopiero gdy ogon stukać zacznie po ziemi, kierują go do innej szczeliny. Drut pędzi z szaloną szybkością. Ogon, ginąc w otworze, trzepie się na prawo i lewo jak żywy...

Ogłuszający huk...

Belka stalowa spada na kowadło.

Nieruchomy młot parowy zlatuje na nią jak piorun, razem prostym niby uderzenie pięści. Zgnieciona kolba przybiera formę płaskiego kręgu. Wtedy w środek jego stawiają przyrząd, który ma wybić otwór, doskonale okrągły. Młot spada raz za razem ze wściekłą siłą. Dzwoni potężnym językiem, który odbija się w halach, w powietrzu, w ziemi... Z hukiem rozlega się lwi ryk żelaza... Stęka w nim gniew kopalni zwyciężonej przez silne ramię człowieka. Krąg z wybitym otworem jest kołem lokomotywy. [...]

Nim stanie na szynach, walczy z ujarzmicielem. Wyżera mu oczy, a twarz zalewa potem; płomieniami, którym je poddał, napełnia jego płuca i serce, na ostre przeciągi wystawione. Szarpie mu nerwy w tej samej minucie, gdy młot parowy szarpie i rozbija jego cząsteczki... [...]

Słysząc było suchy szcęk żelaza o żelazo... Joasia doznała wrażenia, że to jest śpiew.

Po wielkim huku organów w jakiejś katedrze daje się słyszeć śpiew, śpiew z tłumy,

bojaźliwy, strwożony... Stygnące koło poszło dalej w swą drogę.

Judym nachylił się do swej towarzyszki i zapytał:

– Czy widzi pani dobrze pracę tych ludzi?

– Widzę... – rzekła głosem zdumionym.

– Tak, tak... niech się pani dobrze im przyjrzy.

Nie mówili nic więcej ani w halach, ani na ogromnych dziedzińcach zawalonych istnymi górami mialu, gruzów, piasku. Wiatr porywał i nosił z miejsca na miejsce pyły i dziwne jakieś rdze lotne.

Gdy pożegnali uprzejmego mentora, minęli wrota fabryki i gdy jej mury daleko zostały, szli za miasto.

Stefan Żeromski, *Ludzie bezdomni*, Warszawa 1956